



GABRIELA ZAPOLSKA

Lewek


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

GABRIELA ZAPOLSKA

MENAŻERIA LUDZKA

Lewek

Małe to było, brzydkie, krępe, na krzywych nogach osadzone, z głową kudłatą i z bezczelnym spojrzeniem w zielonawych, świdrowatych oczach, których usiłowaniem najgorętszym było rzucić piekielne, podbójcze błyski.

„Demoniczny jestem”, mawiał pukając się w wypukłe piersi okryte wykrochmaloną koszulą, „demoniczna bestia jak chyba nikt na świecie”. I pakował gałkę od laski w szerokie usta, które oblizywał ciągle grubym, sinawym językiem. Nogi obute w płytke lakierowane pantofle wyciągał przed siebie, ohydny, trywialny, śmieszny pod jasnym blaskiem porannego słońca, filtrującego złotawe światło przez liście kasztanów nad ławkami się zwieszających.

Spoglądał na przechodzące kobiety z lekceważeniem pozornym, a z utajoną lubieżnością. Kiwaniem nogi, wydęciem ust zdawał się mówić jak sułtan rozparty na sofie w haremie:

„No! Któraż tam!... Pan czeka!...”

Lecz w myśli powtarzał sobie:

„Ach!... żeby też która!...”

Lecz kobiety omijały go szybko, nie zwracając nań najmniejszej uwagi. Czasem zasłaniały się parasolkami, aby uniknąć jego natrętnego i bezczelnego spojrzenia, które on uważał za szczyt demoniczności. Często — gdy zniecierpliwiony, rozdrażniony, wstawał z ławki i z arogancją zaglądał pod runda kapeluszy mężatek pilnujących dzieci lub następował na pięty dziewcząt, uśmiechających się w promieniach słonecznych — ta i owa mruknęła przez zaciśnięte zęby:

— Błazen!

On wtedy zaciskał zęby z wściekłością, przybierając pozornie rozpromieniony wyraz twarzy. Siedzący bowiem na ławie przyjaciele śledzili go z uwielbieniem, patrząc, jak „zachodzi”, i jak kobiety rzucają mu w przelocie jakieś słowa, które on, szczęśliwie! z uśmiechem niedbałym przyjmuje. Gdy powracał do ławki, kołysząc się na swych krótkich, kaczyczych nogach, gołowasy młodzieniaszek w świat podbojów wchodzący, zaptytywał:

— I cóż? I cóż? Co one powiedziały?...

Ireneusz wydymał dolną wargę:

— Ha! Lecą na mnie!

Po ławce rozchodził się szmer uwielbienia.

Wiadomo bowiem, że Ireneusz należy do tych wybrańców, którzy mają szczęście u kobiet! Już w czwartej klasie miał taką reputację, gdy za brązowymi spódniczkami pensjonarek gonił, spocony, czerwony, kroplami potu na krótkiej, niekształtnej szyi okryty.

Pensjonarki pluły, złościły się, obrzucały go rozmaitymi epitetami, on to wszystko ze stoicyzmem znosił — wiedząc, że w oczach kolegów rośnie na zjadacza serc panięskich, na donżuana, na kobieciarza! Podtrzymując reputację swoją pracował i nadal w tym kierunku, zamieniwszy tylko teren swych manewrów, wiecznie w pogoni za kobietą, zawsze głodny, a udający przesyconego, drżący na szelest krochmalonej spódnicy pokojówki, a ziewający na widok koronek wylaniających się spod sukni szykownej strojnis.

Szlachectwo obowiązuje!

Reputacja Irka była ustalona.

Demoniczny i szczęśliwy do kobiet!...

Tylko tyle.

Godność tę trzeba było dźwigać na swej kwadratowej głowie pod grozą śmieszności i odstąpienia podbójczego berła komu innemu.

Tego Irek byłby nie przeżył.

Chował więc „błazna” do kieszeni i mówił, zapalając papierosa:

— Lecą na mnie!

Lecą! Och!

Akuszerka, odbierając Irka, zaopiniowała w dwie minuty po urodzeniu się tego rozkosznego dziwotworu w następujących wyrazach:

— Chłoptaş szelma, śliczny jak lalka, do mamy podobny jak dwie krople wody. Będzie miał szczęście do kobiet!

Ojciec — suchy, biedny, zawiędły urzędnik — stojący pod piecem z pieluszkami w ręku, uśmiechnął się blade.

— Jak Boga szczerze kocham — przyświadczyła akuszerka, wodę na kąpiel szykując — będą za nim hrabiny latały, już ja się znam na tym.

Słowa pani Malinkiewicz, powtarzane często w obecności już podrastającego Irka, głębokie nań wywarły wrażenie.

— Powiedziała! O! Powiedziała!... Musiała coś przecież wiedzieć, z palca sobie tego nie wyssała.

Uczył się, ale za to był bezustannie w fałdach kobiecych spódnic, wcześniej roznamiętniony i ofiarowujący się z miną znudzonej przymusowym dziewictwem kobiety. Odpychano go jednak, tak był wstrętny, z oczyma zielonawymi, powleczonymi mgłą namiętności, z ustami wpółotwartymi, o zaślimaczonych kącikach. Przez grzeczność, w obecności rodziców, dziewczęta znosiły go pomiędzy sobą, unikając dotknięcia jego rąk zimnych i wiecznie spoconych. On — połykał upokorzenia, znosił przycinki, znajdując dziwną rozkosz w słowach obcych, widzących go w gronie dziewcząt.

— Irek ma szczęście do kobiet! Patrzcie!... Zawsze jest pomiędzy nimi!...

Gdy podrośł, zaczął się zastanawiać, czym właściwie można podbijać kobiety.

Czytał wiele, zatrzymując się zawsze nad opisami bohaterów, którzy — szczególnie obdarzeni od natury — uwodzili po sześć kobiet dziennie, porzucając je później na pastwę tęsknoty i rozpacz.

Bohaterowie ci mieli przeważnie „czoło wyniosłe, otoczone kruczymi kędziorami, twarze pociągłe, blade, nozdrza namiętne, rozdęte”. Jeden z bohaterów Balzaka, uwodziciel urzędowy, miał wargę dolną lekko obwisłą, „świadczącą o zmysłowości”...

Zaczęły się więc tortury ciała Irkowego.

Włosy smażyły się i piekły na żelazku od rurkowania spódnic, nieruchome i mięsiste nozdrza, rozciągane palcami, nabrały pewnych ruchów przy wciąganiu powietrza, warga zaś dolna — ta nieszczęsna warga — miała rzeczywście pozory zmysłowości „szalonej”.

— Irek, co robisz z ustami? — wołała matka, cicha, potulna kobiecina, nie mogąca pojąć, jak zaszczytne stanowisko zająć ma jej syn w społeczeństwie.

Projekt na „lwa” — tymczasem wargę ciągnął i nozdrzami ruszał, tworząc sobie w ten sposób maskę podbójczą, niezwalczoną...

Wzrósłszy w lata i w ciało, krępy i nabyty, rozsadzający pełnością kształtów jasne garnitury, aplikował u jednego z adwokatów, zapelniając ciasną kancelarię trywialną, ostrą wonią chypru. Lokował się przy drzwiach salonu, aby za każdym ich otwarciem rzucić w głębię przenikliwe spojrzenie, samą adwokatową mające na względzie.

Pani ta jednak, jakkolwiek w niebezpieczną trzydziestkę wkroczyła i miała lekki puszek na wierzchniej wardze, posiadała tylko jedną namiętność, to jest... rurki czekoladowe napelnione kremem. Pochłaniała ich ilość obfitą, zmysłowe rozkosze na bok odkładając, namiętne przeto drzenie nozdrzy Irka zostawiało ją zimną, nawet nie zdziwioną w jej łakomym, kremowym rozleniwieniu.

Demoniczny natomiast młodzian, obserwowany, popychany przez kolegów, widząc, iż nic nie zyska, przybrał... minę zwycięzcy i często w pustą głębię salonu rzucał porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy, ku wielkiej radości całej dependenckiej rzeszy.

— Wzięła się! Wzięła! — szeptali do siebie, głowy z pliku papierów wyściubiając.
 Irek brwi marszczył i rękę patetycznie wyciągał.
 — Proszę was — mówił — zaprzestańcie tych żartów. Podobnymi podejrzeniami obrażacie mnie i kobietę, która obdarza mnie sercem zaufanym!
 — ...I której honor jest mi drogim!
 Było w tym głosie to „coś”, które drga zawsze w głosie mężczyzny, ile razy zapiera się miłostek z jakąś kobietą. Mówi „nie”, a słyszy się najwyraźniej „tak”!
 Wreszcie następował teraz bukiet, wieńczący zwykle podobnego rodzaju rozmowy.
 — Daję wam na to... słowo honoru!
 Wszystko tam było — i honor (och, ten nieszczęsny), i ręka na kamizelce położona, i przymrużanie oczów, słowem — cała lira.
 Mimo to, a właściwie mówiąc, dlatego — dependenci mówili w kilka dni później w gronie swych zaufanych przyjaciół:
 — Irek poleciał teraz na grandę, mężatka, szyk kobieta! Nie — on ma dziwne szczęście do kobiet!...
 A zapytywani przez rodzinę o panią adwokatową, odpowiadali:
 — Phi!... Kobieta nieszczęśliwego prowadzenia się! Podobno Irek... i to nie sam!... nie on jeden!
 Adwokatowa tymczasem, kremem cała ubielona, ani przypuszczała, jak czernieje jej dobre imię, jaka smutna przyszłość gotuje się dla jej córek, których matka niedługo w opinii całego miasta zostanie „taką, co przez całą kancelarię męża przeszła”
 Powoli — Irek rozzuchwiał się coraz więcej.
 Tu i ówdzie jakaś pokojówka rozuzdana, sklepikarka lub dystrybutorka spragniona miłosnych wrażeń zsuwała mu się w objęcia.
 On — wyglodzony, miłostki skwapliwie przyjmował, dekorując je później w wytworne barwy w opowiadaniach swych wśród kilku przyjaciół. Franusia z drugiego piętra, cuchnąca mydlinami, była w tych opowiadaniach panną „z bardzo przyzwoitej rodziny”, odwiedzając go o szarej godzinie z panną służącą. Biedactwo! Przybywało zawsze spłonione i drżące. Narzuciło mu się prawie samo, a teraz on — z litości nad biedną, stosunek ten przeciągał, który — nawiasem mówiąc — nużył go niewypowiedzianie. Czuł bowiem, do czego to zmierza, panna chce koniecznie doprowadzić go do ołtarza, lecz on, Ircio, bynajmniej tego nie pragnie!
 Tym bardziej, że... niedawno zaplątał się jeszcze w znajomość z pewną wdową, mającą, posiadającą handel na jednej z pryncypialnych ulic, o!... wiecie! Sklep wspaniały, jubilerski, pełen brylantów, turkusów, rubinów.
 On — uległ także temu kaprynowi, pociągnięty wielką pięknnością wdowy, lecz teraz rad by się wywinąć uczciwie, jak na przyzwoitego człowieka przystoi.
 Wdową tą tymczasem była dystrybutorka, rozlana w czterdzieście, którą przekroczyła, żółta i nędzna, ze skromnym kontuarem¹ ubożego sklepiku na jednej z najbardziej oddalonych ulic miasta.
 Przyjaciele Irka cisnęli się teraz do niego, pełni tej dziwnej łatwowierności, jaką mają mężczyźni wobec miłosnych błag patentowanego przez nich samych bezczelnika.
 — Irek!... Irek!... Powiedz, jak się nazywa?
 Irek łyżeczką kawę mieszał z tajemniczą miną.
 — Nie wymagajcie! Honor kobiety!...
 Lecz oni nacierali, pełni niezdrowej ciekawości starych plotkarek.
 — Czy znamy ją? Powiedz?
 Irek ramionami ruszał.
 — Może... — rzucał z niechcenia.
 — Pani Strzelecka?
 — A... cóż znowu!
 — Pani Jacksohn?
 — Ależ...
 Uśmiechał się dwuznacznie, oczami demonicznie błyskając.
 — Ależ tak, ona, ona, nikt inny!

¹kontuar — lada. [przypis edytorski]

Lecz on porywał się nagle, godności pełen:

— Proszę, zaprzestańcie tych domysłów. Gdyby nawet tak było... honor milczeć mi nakazuje!

I nagle wdowa po jubilerze zostawała kobietą „kompromitującą się z jakimś dependentem” — istotą zgubioną, nie umiejącą nawet szanować pozorów... Ta i owa, w chwili oburzenia, wróciwszy z „Pod Rakiem”, gdzie grywa rozstrojona orkiestra, a gabinety zbudowane są z dziurawych desek, mówiła:

— Wszystko przecież można... ale zachować trzeba pozory!...

Koło kobiety robiła się pustka, której ona wytłumaczyć sobie nie umiała i nie mogła, a lewek Irek powtarzał tymczasem:

— Gdyby nawet tak było, honor mi milczeć nakazuje!

Och!... Ten honor mężczyzn, lwów, broniących czci kobiety, którą sami zszargali, ten honor dzwoniący jak fałszywa moneta — „*qu'allait — il faire donc, dans cette galère?*”²

Powoli Irek rozzuchwalał się jeszcze więcej.

Trzeba było słyszeć tę potworę, mówiącą o kobietach w ogóle, zwłaszcza gdy wypił filiżankę czarnej kawy z figową cykorią pod werandą dystyngowanej cukierni.

Kobiety!... hm... wiedział on dobrze, co znaczy to słowo! Trzysta czterdzieści siedem razy grał komedię miłości... tak!... tak!... trzysta czterdzieści siedem! Ani mniej, ani więcej! Zna więc do gruntu te istoty, które bez wielkich wysiłków przykuć do siebie na zawsze można. Gorący pocałunek, w ucho na przykład, zupełnie wystarcza! On to próbował nieraz i żadna mu się nie oparła! A ileż ich przez ręce mu się przewinęło! Blondynki, brunetki, rude, ba!... nawet jedna siwa, lecz młoda i piękna! Wybierał zawsze bowiem piękne i dobrze zbudowane... wszak tyle jest tego na świecie!... mój Boże — ręką tylko sięgnąć... już jest, i to nie byle co, szyk, elegancja, inteligencja! Wszystko!

Cóż? Kobieta? — Istota słaba, bez woli, lgnąca do trochę przystojniejszego mężczyzny na oślep. Tak zwanych „uczciwych” — phi!... to okazy do wypchania, nie ma ich po prostu, Irek takich nie znał, wreszcie... on za nikogo, za żadną by nie ręczył!

Podkreślił te słowa, przybijając tym słuchaczy. A wreszcie, gdyby oni byli na jego miejscu i przeszli to, co on przeszedł, widzieli kobiety na pozór zacne, święte, nieskalane... szalejące w chwili ekstazy miłosnej w jego objęciach jak kurtyzany! — tak! tak, jak proste kurtyzany!

Od pewnego czasu upodobał sobie wyraz „kurtyzana” i szastał nim na prawo i lewo, wsłuchując się w dźwięk tego teatralnego słowa.

— Zresztą — ciągnął dalej, paznokcie sobie oglądając — życie trzeba brać, jak jest! Kobieta jest przyjemnym narzędziem rozkoszy i miłą rozrywką. Tylko...

Tu składał ręce jak do modlitwy.

— Na Boga, panowie, nie żądajcie niemożliwego! Nie chcecie widzieć w kobiecie istoty na wieki do was przykutej, bo w ten sposób życie będzie dla was męczarnią. W młodości mej... wiedziałem coś o tym!

Pozował się, melancholijnie głowę na dłoni wspierając.

— Tak!... tak!... — kończył cichym, przytłumionym głosem. — Początkowo brałem komedię miłości na serio. To mnie zabijało. Dziś nie Kocham! Pozwalam się kochać... i czuję się o wiele szczęśliwszym.

Uśmiechał się, usta oblizując — w kącikach mu kawa pomieszana z śliną czerniała.

— Teraz już trzysta czterdzieste ósme przedstawienie nie kosztuje mnie nic i bez najmniejszego wzruszenia o schadzce wieczornej myślę. Ot, spędzić wieczór z kobietą jest dla mnie to samo, co... filiżankę kawy wypić.

Pełen dezynwoltury³, wspaniała, nadzwyczajny, sączył resztę fusów osiadłych na dnie filiżanki. Słuchano go z religijnym skupieniem.

Swadę miał i widoczną gruntowną znajomość przedmiotu.

Czasem miał odpowiedzi, które po prostu historycznymi się stały, rywalizując ze słowem Cambronne'owi⁴ przypisywanym.

²*qu'allait — il faire donc, dans cette galère?* — zniekształcony cytat z *Szelmostw Skapena* Moliere'a, gdzie było: *Que diable allait-il faire dans cette galère*, tj. jaki diabeł przybędzie tą galerą? [przypis edytorski]

³*dezynwoltura* — nadmiernie swobodne, lekceważące zachowanie. [przypis edytorski]

⁴*Cambronne, Pierre* (1770–1842) — generał wojen napoleońskich; wedle anegdoty podczas bitwy pod Waterloo wulgarnie odpowiedział na propozycję kapitulacji. [przypis edytorski]

Przykład:

Jeden z młodzieży, wkraczający dopiero w dziedzinę galanterii, zauważył nieśmiało, że pomiędzy „szwaczkami” wiele się znajduje dowodów szczerego przywiązania i miłości.

Dyskutowano trochę, ten i ów opozycję zakładał, wreszcie zwrócono się do Irka, który ostentacyjnie jakiś list, na różowym papierze nabazgrany, czytał:

— Jak pan sądzisz?... Szwaczki? Co?

Irek oczy zmrużył.

— Szwaczki — odpowiedział po chwili z niezrównanym roztargnieniem — szwaczki?... *je n'en sais rien*⁵!... nie znam!...

Od pewnego czasu używał francuszczyzny, ucząc się zdań pojedynczych i rozmówek pani Bocquel.

— Nie znasz pan szwaczek? — pytano ze zdziwieniem. On demoniczny wzrok wkoło ciskał:

— A od czegoż... damy? — zapytał.

Razem z latami wzrosła w tym mężczyźnie dziwna zaciekłość udawania kochanka każdej choć trochę wybitniejszej lub bardziej znanej kobiety.

Zwrócił się przede wszystkim do teatru.

Poznał jakąś nędzarkę, chórzystkę, obarczoną killkorgiem dzieci, zaglądał często do jej biednego mieszkania i teraz nagle zaczął pastwić się nad aktorkami. Od owej chórzystki wyciągał niektóre szczegóły co do artystek stojących na stanowisku, i szargał je w błocie rozpusty, obmawiając w najcyniczniejszy sposób.

Pisywały do niego! O! Tak! Nawet bardzo często, cierpiąc po prostu na manię listów! Lecz on, jakkolwiek chwilami znajdował pewne upodobanie w towarzystwie „tych pań”, umiał postawić się na odpowiedniej stopie. Mój Boże!... wiadomo bowiem, jak przewrotną jest kobieta, a cóż dopiero aktorka! Tej ostatniej głównie chodzi o świedelka, błyskotki. Rzuca się więc jej ten okup i flirtuje wesoło w jej buduarze⁶. Co jeszcze mają najlepszego w sobie aktorki — to umiejętność urządzania buduarów.

I dyskretnie dawał rozmaite szczegóły.

U tej na przykład buduar, cały różowy, ma na szezlongu rzuconą białą niedźwiedzią skórę, u tamtej buduar w kształcie orientalnego namiotu, u innej znowu lustra i lustra.

Jeszcze inna nie miała buduaru, przyjmowała zwykle w saloniku, w którym była zaciszna alkowa, wybita liliową draperią. Aktorka miała jasnozłociste włosy, zwykle rozpuszczone, i wielkie koronkowe rękawy, którymi zamiatała ziemię.

Nawet na nim, na Irku, robiło to pewien efekt, dlatego przesiadywał tam często, powtarzając z „tą panią” — jej rolę.

Ależ tak — tylko rolę, a wreszcie...

Tu — był już dyskretnym.

Dobra wiara, którą zaszczycono go od lat kilku, wyrobiła w nim bezczelność posuniętą do niemożliwych granic.

Opinia aktorek, szarpana zwykle przez wszystkich, dla tego lwa była prawdziwym kąskiem królewskim, na który rzucał się z całą zajadłością.

Aktorki!... fiu!... wszystko kurtyzany!...

Rzecz ceny — nic więcej!

Ramionami wrzusał, usta wydymał, pełen szlachetnej pogardy dla istot ujranych zaledwie z daleka, wśród blasku gazu, w szeleście jedwabnych spódnic i całej fali koronek.

Serce biło mu gwałtownie, gdy ujrzał którą przechodzącą ulicą.

Jeśli nie był sam, pociągał gwałtownie swego towarzysza i przechodził na drugą stronę ulicy.

— Dlaczego to robisz? — pytał towarzysz — patrz, idzie Morelka, przywitasz się z nią... może mnie przedstawiś?

— Dziwny jesteś — odpowiadał — nie wiesz, że od dawna nie znam tej pani?

⁵*je n'en sais rien* (fr.) — nic o nich nie wiem. [przypis edytorski]

⁶*buduar* (z fr.) — pokój pani domu służący odpoczynkowi. [przypis edytorski]

Lub zapuszczał się dalej w efronierię⁷ mówiąc junacko:

— Witać się z nią? Cóż znowu, przecież ja nie mogę się tak skompromitować!

Przechodził szybko, głowę do góry niosąc, z ustami wydętymi pogardliwie, ironicznie, pogwizdując jakąś urywaną melodię.

Aktorka tymczasem szła powoli, nie przypuszczając, że po drugiej stronie chodnika szedł człowiek rzucający na nią błotem, dający jej miano „kurtyzany” i mówiący z pogardą:

— Ta pani — to rzecz... ceny.

Niezrównaną miał fantazję ten kreowany przez akuszerkę pożeracz serc kobiecych. Wyjeżdżał raz do Wiednia i zawadził o Wenecję. Było to już po śmierci matki i trochę klejnotów przez nią pozostawionych przeszło w ręce Żydów dla opłacenia kosztownej dla Irka w świat wycieczki:

Lecz za to z powrotem ileż legend opromieniło demoniczną postać lewka!...

Wiedenki — hm... cóż! Wiedenki — namiętne, rozmarzone, wysiadujące na ławkach Stadtparku podczas księżycowych nocy.

Sentymentalizm straszny... samobójstwo w perspektywie! Zapewne — sensacje nowe i dość miłe, lecz dla człowieka, który trzysta czterdzieści siedem razy grał komedię miłości — zanadto wstrząsające.

Wspanialsze o wiele Włoszki, Wenecjanki, tajemnicze, pełne ognia i nieopisanej zmysłowości... A gondole! Ach!

Irek głową w takt wiosel kiwał i oczy przymykał uśmiechnięty, pełen rozkosznych wspomnień. Czasem... barkarolę⁸ Troschla⁹ nucił fałszywie i powtarzał jak papuga:

„*T'amo*¹⁰!”

Raz — w chwili zwierzeń wyznał, iż przechodząc placem św. Marka dojrzała go pewna księżna karmiąca gołębie i wieczorem w gondoli swej uwiozła.

Na Canale Grande nauczyła go słowa — *T'amo!*

W rzeczywistości Irek mieszkał w Wiedniu na Leopoldstadt, został w Stadtparku zwymyślany przez jakąś *mädel*¹¹ wracającą z „Waschanstalt”, a w Wenecji, wynudziwszy się nad cuchnącym kanałem, na próżno usiłował pozyskać względy dziewczyny posługującej w hotelu, grubej, trywialnej Włoszki, czeszącej się raz na trzy tygodnie...

W kilka miesięcy później Irek kupił sobie wąskie *porte-bonheur*¹² i kazał je zakuć na rękę.

Było to szczytem elegancji i szyku.

Wysuwał teraz rękę spod mankietu i błyskał złotem bransoletki, drażniąc ciekawych niezwykłym tym zjawiskiem.

Gdy go pytano, wymijał zręczne odpowiedzi, honorem się znów zastawiając...

Szczególnie w teatrze imponował bezustannie, bransoletkę na rękę naciągał i nią pod oczy siedzącym w krzesłach kobietom świecił.

Niektóre mówiły:

— Patrz! To monstrum ma bransoletkę!

Inne, zaciekawione istotnie, rzucały badawcze spojrzenia.

Irek — uszczęśliwiony nadymał się jak żaba, *porte-bonheurem* o spinki dzwonił i przeginał się z nonszalancją przez barierę krzesel.

W tym czasie przeczytał *Siostry Rondoli* i *Safó*. Mówił przeto wiele o francuskiej literaturze i o głębokości studiów nad kobietą dokonanych przez Maupassanta i Daudeta.

Rozmarzywszy się raz fałszowaną *chartreuse*'ą¹³, ułożył nagle cały romans o jakiejś tajemniczej czarno ubranej kobiecie, która od kilku dni przychodziła do niego o zmroku wieczornym.

⁷*efronieria* (daw.) — bezczelność. [przypis edytorski]

⁸*barkarola* — utwór muz. wzorowany na pieśniach weneckich gondolierów. [przypis edytorski]

⁹*Troschel, Wilhelm* (1823–1887) — polski śpiewak operowy i kompozytor. [przypis edytorski]

¹⁰*T'amo* (wł.) — kocham cię. [przypis edytorski]

¹¹*mädel* (niem.) — dziewczyna. [przypis edytorski]

¹²*porte-bonheur* (fr.) — amulet. [przypis edytorski]

¹³*chartreuse* — francuski likier ziołowy. [przypis edytorski]

Miało to być „coś z arystokracji” — spowitego w batyst i blandyny (!) i pragnącego u stóp Irka pozostać do śmierci.

Słuchacze zainteresowali się tą opowieścią i przez kilka tygodni tajemnicza dama unosiła się jak mistyczne zjawisko nad głowami mężczyzn. Powoli — zapomniano o niej. Irek przestał mówić, znużony własnym kłamstwem.

Minęło kilka miesięcy.

Nagle przypominano sobie tajemniczą damę i, rzecz naturalna, zapytano o nią lewka. On przez chwilę stał osłupiały, nie mogąc przypomnieć sobie, o co tu właściwie chodzi.

Wreszcie pamięć mu wróciła.

Do diabła! Cóż teraz zrobić z tą całą historią! Płatać ją dalej, jak? — konceptu mu zabrakło.

Nagle wspaniała myśl zaświtała mu jak gwiazda zbawienia.

Uśmierci ją!

Tajemnicza dama umrze...

I z ponurą twarzą, grubym głosem opowiedział, pochylony nad swoją kawą, że czarna dama umarła w Nicei... na suchoty¹⁴, miesiąc temu, a ostatnie jej słowo było „Ireneusz”...

Powiedziawszy to, zamyślił się głęboko, smutny i znękany.

Słuchacze uszanowali jego boleść ogólnym milczeniem. Od tej chwili aureola cierpienia otoczyła czoło Irka; zaczął chodzić zgarbiony, jakby smutkiem do ziemi przyciśnięty.

Pluł ze wzgardą na wszystkie kobiety, tęskniąc do tej jednej, szacunku i miłości godnej, która „odeszła w dal ciemną, pod błękitnym niebem Italii”.

— Cóż znowu — pocieszali go przyjaciele — trudno zginąć z tęsknoty dla trupa. Miej siłę, oprzytomnij, Irku!

Lecz Irek pozował teraz coraz więcej, drapując się¹⁵ w szatę tragiczną, fikcyjna kochanka zaczęła dlań przybierać kształty. Po upływie pewnego czasu nabrał przekonania, że — czarna dama rzeczywiście istniała.

Teraz w węzeł krawatu wpinał szpilki w formie trupich główek, ubierał się ciemno, cały żałobny jak karawaniarz.

Chwilami miał chęć sprawienia sobie krepy¹⁶ przy kapeluszu.

Słowem był to wdowiec, wdowiec oplakujący istotę, która — nie istniejąc — śmiercią swą pogrzyżyła go w bezmiarze bóleści.

I często z zamglonymi oczyma siadał w gronie swych przyjaciół, aby wywnętrzyć ból swój drżącym od wzruszenia głosem.

Jeśli go kto w życiu kochał, o! To pewno ta jedna!... Była mu cała oddana pomimo odpychającego chłodu, z jakim miłość jej przyjmował!

Uderzał się w czoło z rozpaczą.

— Byłem względem niej niegodziwy — wołał — lecz czyż to była moja wina! Popsuły mnie te wszystkie inne, popsuły, bo trzysta czterdzieści siedem razy musiałem grać z nimi komedię miłości. A czy która z nich była warta tego?...

— Przecież adwokatowa... — przerywano mu półgłosem.

— Och!... Ona!... I tu Irek mścił się za lekceważenie okazywane mu przez amatorkę kremu. — Och! Ona szczególnie!... głupia, zła, gadatliwa, narzucająca się, nudna i chuda!... o, tak, chuda w przerażający sposób. Stanikiem dobrze zrobionym okłamywała ludzi... lecz on, Irek, wiedział, czego się ma trzymać...

Nie krępował się już teraz w słowach, rozbierając brutalnie kobiety, o których istnieniu wiedział za ledwie. Podniecony, wściekły — mścił się za każdą obelgę, każde odepchnięcie, wyrzuceniem z siebie całej masy kłamliwych szczegółów piętnujących kobiety jak rozpalonym żelazem, na dowód przytaczając tajemnice alkowy, sekrety ciała, ukryte wady lub wdzięki.

I tylko dla nadania sobie pozy i uroku po wracał ciągle do zmarłej, wysławiając ją jako ideał piękności i wdzięku.

— Włosy miała czarne jak kruk i do pięt sięgające — mówił potrząsając głową — oczy szafirowe, twarz bladą... nie! Opisać jej niepodobna, a wreszcie, chcecie? — pokażę wam jej fotografię.

¹⁴suchoty (daw.) — gruźlica. [przypis edytorski]

¹⁵drapować się — tu: stroić się. [przypis edytorski]

¹⁶krepa — czarna tkanina, symbol żałoby. [przypis edytorski]

Radość w tłumie powstała ogólna.

— Ale, przysięgnijcie mi na honor, iż nigdy żaden nie da poznać po sobie, że widział ten portret w rękach moich!

Słuchacze, powstawszy, na honor przysięgli.

Gdy Irek do domu powrócił, uczuł kłopot niemały.

Przyrzekł pokazać fotografię zmarłej — hm!... dobrze, ale skąd fotografię dostać?

Nie wypada nic innego, tylko kupić, jakiś „gabinet” i przyjaciołom przed oczyma błysnąć. Nazajutrz, wczesnym rankiem, pobiegł do *ateliers* fotograficznych.

Podał się za heliominiaturzystę¹⁷ amatora, chcącego nabyć kilka fotografii celem robienia studiów.

Podano mu całe stopy wybiórków, portretów osób, które nie zastrzegły sobie sprzedaży publicznej.

Irek szukał długo, wreszcie — wybór jego padł na silną brunetkę o wielkich ciemnych oczach, owiniętą masą białej gazy.

Wydała mu się nadziemską w tym jasnym obłoku. Zjawisko, widmo zmarłej, a nieznaney kochanki.

— Kto jest ta dama? — zapytał.

Fotograf pokręcił głową.

— Nie pamiętam prawdziwie — odparł — fotografia ta zdejmowana już lat kilka temu. Zdaje mi się jednak, że to ktoś z prowincji.

— Nietutejsza?

— O! Za to ręczyć mogę!

— Tym lepiej!

Zapłacił, fotografię zabrał i, cały przejęty ważnością chwili, dzień spędził w gorączce i oczekiwaniu.

Co chwila fotografię wyjmował i przyglądał się rysom brunetki. Była przystojną, choć cokolwiek mało miała dystynkcji. Jakiś uśmiezek w kącikach ust się błąkał; za wiele widać było piersi.

Gaza ratowała jednak wszystko.

Z nadejściem wieczoru Irek do cukierni pędzi — i pomiędzy zebranych już mężczyzn wpadł.

Porwali się wszyscy, zaciekawieni jak stare baby, wyciągając ręce.

— Fotografia? O! Pokaż! Pokaż!

On — stał teraz boleśnie wykrzywiony i powoli kopertę odchyła.

Portret wyjąwszy spojrział i westchnął.

— Tak!... To ona!... moja święta — jakby przemówić miała!...

I fotografię najbliższemu podał, a sam, jakby boleścią przybity, na krzesło się usunął. Lecz nagle serdeczny, wesoly śmiech, rozległ się w powietrzu.

Jeden z grona mężczyzn, świeżo z Łodzi przybyły, machał w rękę utrzymaną fotografią „świętej zmarłej” zanosząc się ze śmiechu.

— Ależ to Wikcia! — wołał — Wikcia z Grand Hotelu w Łodzi — ta... co się tu w Warszawie teraz puszcza!

Lewek głowę podniósł i ogłupiałym wzrokiem na śmiejącego się patrzył.

¹⁷heliominiaturzysta — osoba wykonująca barwione fotografie. [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-lewek>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Menazeria ludzka*, Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1994.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Manoj Kengudelu@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.